

W KRAJU WOJENNYCH PODŻEGACZY

9 marca 2019

Kolejny wypadek samolotu MiG-29 polskiego lotnictwa wojskowego nie zaskoczył nikogo, kto ma jakieś takie pojęcie o sytuacji w tymże. Niestety, sensowne wnioski z sytuacji potrafiło z niego wyciągnąć niewielu. Tymczasem sprawa jest oczywista. Tak jak za poprzednich rządów ugrupowania kierującego obecnie naszym państwem dochodziło do spektakularnych katastrof, tak znowu bezpieczeństwo latania spadło.

W okresie, kiedy po katastrofie smoleńskiej dowodzenie lotnictwem wojskowym oddano doświadczonym fachowcom, nie zdarzył się żaden wypadek. Żaden. Gdy do władzy dorwali się znowu politycy przesiąknięci nienawiścią do ludzi wiedzących i rozumiejących więcej od nich, zaczęli masowo tych fachowców wyrzucać. Nie trzeba było długo czekać, by sytuacja wróciła do tragicznej normy. Od ponad dwóch lat wypadki zdarzają się seryjnie.

I nie ma tu nic do rzeczy wiek spadających samolotów. Prawidłowo eksploatowane, obsługiwane przez doświadczonych fachowców, mających dostęp do części zamiennych, pilotowane przez pilotów przestrzegających regulaminów, mogłyby jeszcze długo i bezpiecznie latać. F-16 amerykańskich wojsk lotniczych są w podobnym wieku, co polskie MiG-29. I latają. Po prostu. Gdy któremuś przytrafi się awaria, fachowi komentatorzy i politycy nie mówią, że to złom, i że natychmiast trzeba je zastąpić samolotami nowej generacji. Bo żadnego państwa nie stać, by jego wojsko używało wyłącznie najnowszego, wyposażonego we wszystkie gadżety, sprzętu.

Problem jest naprawdę poważny. Chodzi bowiem o sposób myślenia o bezpieczeństwie państwa. Niestety, rządzący Polską politycy nie rozumieją najprostszyc związanych z tym zjawisk. Choćby tego, że wojna jest przedłużeniem polityki, a nie celem samym w sobie. By żyć w pokoju trzeba przede wszystkim dobrze układać sobie stosunki z sąsiadami i innymi państwami ważnymi dla zachowania tegoż pokoju. Budować wspólne programy gospodarcze, szukać pól do współpracy w każdej dziedzinie, która może przynieść realne korzyści obu stronom. A nie karmić siebie i społeczeństwo złudzeniem sojusznika – jednego jedyne, który ma zapewnić bezpieczeństwo. Sojusznika, który chętnie przyjmuje wielokrotnie przepłacane zamówienia zbrojeniowe i paliwowe, ale nie daje żadnych realnych gwarancji czegokolwiek. A jeśli nawet ostatecznie wygra wojnę z hodowanym przez lata w społecznej wyobraźni, przez polityków i uległe im media, przeciwnikiem, to Polski i większości Polaków już nie

będzie. Bo wyparują.

To nie są teoretyczne rozważania. Pokój w Europie, w której przez setki lat prawie każde pokolenie musiało odbudowywać nie tylko miasta i wsie, ale i populację, zapewniło przekonanie o bezsensie wojny i sensie współpracy – gospodarczej i nie tylko. Dzięki temu dwa najbardziej zwaśnione przez wieki narody – niemiecki i francuski, całkiem zgodnie współżyją od ponad pół wieku, rywalizując nie przy pomocy broni, a umiejętnościami w dziedzinach decydujących o statusie ekonomicznym, poziomie życia itp. Oczywiście pewien potencjał militarny każde z państw europejskich pozostawiło sobie do dyspozycji. Francja ma nawet broń atomową. Ale wojska, tak jak Stany Zjednoczone, zachodni Europejczycy starają się używać z dala od swych granic.

Bo wojsko – powtarzam to od lat – nie służy do toczenia wojen. Wojsko ma pomagać politykom, by wojen nie było. A już na pewno nie na własnym terytorium. Tylko bardzo prymitywni politycy, wychowani w kulcie bohaterów przegranych wojen i powstań, mogą uważać inaczej. Niestety, tacy właśnie nam, Polakom się trafili. Rzecz jasna nie wszyscy, ale wielu. Zbyt wielu.

Wnioski? Politycy rządzący w ostatnich dekadach Polską – nie rozumiejący współczesnego świata, żyjący złudzeniami i karmieni fałszywą historią, rusofobiczni – muszą odejść. Na ich miejsce powinno przyjść nowe pokolenie – bardziej pragmatyczne i bez kompleksów – potrafiące konkurować wiedzą i pomysłami z przywódcami innych państw. Zdolni do współpracy i odrzucenia fobii. To potrwa. Dziesięć, piętnaście lat. Ale jeśli znajdzie się jakiś mąż stanu, który stanie na czele zmian, zwyciężymy. Bez broni. Zwycięstwem będzie życie w dostatnim, spokojnym kraju, otoczonym przez przyjaznych sąsiadów. Bo to co przez wieki było przekleństwem Polaków – położenie na szlakach różnych podbojów – teraz może i musi stać się okazją do rozwoju.

A co z samolotami? Opanowanie sytuacji i przywrócenie normalności w lotnictwie wojskowym – gdy okoliczności już na to pozwolą – będzie trudniejsze niż przed dekadą. Ale zapewne możliwe. Zakupy nowych samolotów też się przydadzą. Ale dopiero wtedy, kiedy dokładnie będziemy wiedzieli na co mogą się przydać. Oraz z zapewnieniem racjonalnych korzyści gospodarczych. Dziesiątki miliardów złotych, które trzeba będzie na nie wydać, muszą zapracować na przyszłość Polski. A dopiero w drugiej kolejności wspierać interesy dostawcy.

Tomasz Hypki